TYDZIEŃ

polityczny, naukowy, literacki i artystyczny.

REDAKTOR

JÓZ. IGN. KRASZEWSKI.

Wychodzi co Niedziela numer arkuszowy. — **Rękopisma**, oprócz wyjątkowych razów, nie zwracają się. — **Ogłoszenia** wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą **1** sgr. od wiersza petitowego trzy-szpaltowego. — **Redakcja** w Dreznie.

Prenumerata trwa do końca pierwszego kwartału; przyjmuje się u Wydawcy w Dreznie, we wszystkich znaczniejszych księgarniach polskich w kraju i za granicą i w Urzędach Pocztowych. — W Niemczech północnych z przesyłką (oprócz stępla) wynosi ćwierćrocznie **1 talar.**

№ 11. Drezno, dnia 12. Marca 1871. Rok II.

Do Abonentów Tygodnia.

Upraszamy Szanownych Abonentów, którzy dotąd przedpłaty za pierwszy kwartał nie złożyli, aby z takowej jak najprędzej uiścić się raczyli, jednocześnie oświadczyć zechcieli, czy „Tydzień“ na II. kwartał będą abonować. — Tych Szanownych Abonentów, którzy na poczcie się zapisali, prosiemy, aby zamówienia jak najrychlej poczynić chcieli, gdyż w przeciwnym razie przesyłka z Nr. 13. ustanie.

Bylibyśmy wdzięczni tym, którzy we Lwowie, Królewcu i t. d. za rok przeszły pozostali nam dłużni, za odesłanie należności.

Ekspedycja Tygodnia.

Kronika tygodniowa.

Pożądany pokój przyniosła nam wiosna na zielonych skrzydłach... biją dzwony po stolicach, palą się illuminacje, olbrzymie Germanji posągi wznoszą się po rynkach i niezliczone popiersi — cesarza Niemiec w laurowym wieńcu zdobią wszystkich sklepów wystawy. Obchody są wspaniałe ale serca smutne, pokój ten to tylko rozejm i wytchnienie. Tymczasem młody żołnierz pospiesznie uczy się musztry i siły zbrojne zwiększają.... Niemiecka jedność dokonaną jest wprawdzie w części, kosztem krwi i trudów olbrzymich, lecz idea domaga się dopełnienia. Pieśń mówi o niemieckiej ojczyźnie, gdzie tylko brzmi język niemiecki... słyszym go jeszcze w nieprzyłączonych ziemiach państwa austryjackiego, w oddalonych nadbaltyckich prowincjach Rosji, w Szwajcarji niemieckiej. — Zwycięzka Germanija zechce zapewne do łona swojego przyłączyć bratnie ludy... i musi stać pod bronią. Zadanie albo było źle postawioném i źle pojętém, lub musi być z nieubłaganą dokonaném logiką. Czują to wszyscy — nowe cesarstwo Wszech Niemiec dla tego musiało złamać Francję, na-

Wilhelm Buszkat.

OPOWIADANIE

z życia syberyjskiego.

Spisał

N. F...

(Dokończenie.)

W więzieniach takich niepomnych numerują tylko: Jan niepomny Nr. 1, 2, 3 i t. d., bo ich bywa po sześćdziesięciu i więcej. Wszyscy wiedzą jak się który nazywa, ale najgłębszą zachowują tajemnicę.

Przybyły nareście wiadomości o mnie, to jest o Józefie Hermanowiczu i zostałem wezwany. Pisarz, podoficer, zarzucał mi, że nie podałem wszystkich moich braci i sióstr, chociaż ich mam więcej. Na co odpowiedziałem, iż po mojem wyjściu z domu przyjść mogli na świat, co rzeczywiście ich wiek potwierdzał. — Zapytał mnie jeszcze, czemu nie wymieniłem najstarszej siostry mojej Pauliny, zamężnej, z czego się tłumaczyłem, iż jako o dawno nieobecnej i za mąż wyszłej, zapomniałem. — Objaśnienia moje znaleziono dosyć prawdopodobnémi, i dnia 5. Maja 1869 roku wyprawiono mnie do Wilna do dalszego sprawdzenia, bez kajdan, dając mi tylko 10 kopiejek dziennie, nie 15, jak należy szlachcicowi, — póki by nie było sprawdzoném, że nim jestem w istocie.

Z Szeleby szedłem przez Złotoustsk, Ufę aż do Szestopola nad Kamą w Wiatskiej Gubernji, zkąd dalej wyprawiono nas statkiem parowym do Niżnego Nowogrodu. W drodze do Szestopola drożyzna była wielka, prosili mnie więźniowie pod konwojem będący o żywność i odzienie. Mieszkańcy dosyć obfitą obdarowywali jałmużną, ale musiano się opłacać pieniędzmi żołnierzom za każde wyjście na żebraninę i oprócz tego oddawać im jedną trzecią część wyżebranego chleba.

Wsie tatarskie dla Moskali były najprzykrzejsze do przebycia, gdyż Tatarzy tak nienawidzą Moskali, iż nie tylko żadnemu z nich nic dać nie chcą, ale za pieniądze nie sprzedadzą kawałka chleba. Polakom zaś dają chętnie i z całego serca.

Z Niżnego Nowogrodu wysłano mnie już koleją na Moskwę, Petersburg do Wilna, zkąd po pięciu dniach odesłano do Trok. — Razem ze mną szło dwóch kontrabandzistów, którzy już swoję karę odbyli, i odprawiano ich na miejsce urodzenia do wsi Strawniki. Pili oni z wielkiej radości w każdym szynku po drodze. Od nich, jako od sąsiadów, dowie-

rażając się na rozbudzenie w niej wiekuistych niechęci, ażeby miało czas, nim ona siły odzyska, resztę swojego posłannictwa dokonać. Na kogo więc kolej? Zdaje się czuć fatalizm wiszący nad sobą Austrija.... Przynajmniej nie łudzi się tam nikt świetną przyszłością i głosy prorocze odzywają się zwiastując — zagładę. Dokonywają jej systematycznie, nic nie mając do stracenia, centraliści wiedeńscy, którzy albo chcą panować całej Austrji, lub wolą złączyć się z bratniem państwem, w którém narodowość ich jest panującą. A że słowiańskie prowincje w panowaniu niemieckiego żywiołu wiedzą czego się spodziewać mają, nie zgodzą się nigdy dobrowolnie na podpisanie wyroku śmierci na siebie. Walki tej koniec przewidzieć się daje, jest to *finis Austriae*. — Od tego ratować się ona tylko może stając słowiańską, i idąc za wskazówką swych przeznaczeń — jeżeli już nie zapóźno. — W tej chwili od delegacji polskiej wiele zależeć może, jeśli ona zechce pojąć, iż idąc ręka w rękę z Czechami, centralistom niemieckim oprzeć się może skutecznie i polityce Austrji nadać nowy kierunek.

Stoi pomiędzy nami a Czechami widmo krwawe Rosji, lecz nie jesteśmyż my winni, że je wyprowadzono? Polityka węgierska wcale się w sentymenta i czułostki dla nas bawić nie będzie, gotowa ona poświęcić nas i Austrję dla własnej korzyści. Z tej strony żadną nie możemy się łudzić nadzieją. Z Czechami wiążą nas interesa jedne, położenie identyczne, a w przyszłości te same Czechy stanąć mogą pośrednikiem między nami a przyszłą Rosją. Mówię przyszłą, gdyż z teraźniejszą nic mieć do czynienia nie możemy. Jest więc w dobrze pojętym interesie naszym porozumieć się, dziś lub nigdy, z Czechami, plan określić jeden i zobowiązać się z obu stron przymierzem do popierania spraw obu krajów. — Winni byśmy byli wiele tym, którzyby śmiało wchodząc na tę drogę, mrzonki i wahanie się a politykę wyczekiwania a milczenia zmienili na krok śmiały i stanowczy. — Ale możemyż się tego spodziewać po delegacji naszej, po ludziach zużytych w martwém i bezmyślném politykowaniu słowy i czekaniu na zmiłowanie Boże??

Rezygnacja biskupa Chełmskiego, ks. Kuziemskiego, powrót jego do Galicji, schodzi się dziwnie z rozbudzonémi nadziejami Rusi, która na nowy gabinet rachuje. Być bardzo może, iż ministerstwo nieznalazłszy poparcia w polskiej delegacji, podniesie rusiński żywioł, który do Czech rękę wyciągnie. Niebezpieczeństwo więc wielkie osamotnienia, osłabienia i skutkiem fałszywej polityki — zupełnego pominięcia Galicji polskiej. — Dla tego zdaje się nam, iż nie mamy chwili do stracenia dla porozumienia się z Czechami i zgodnego z niemi pochodu.

Z Królestwa i prowincij zabranych przez Rosję nic nas nie dochodzi godnego szczególnej uwagi.

Dzienniki Galicyjskie z dziwnym spokojem zapatrują się na gabinet nowy, chociaż namiętne przeciwko niemu wybuchy centralistów, już by go lepiej nam dać poznać mogły. — Kraków więcej jest w tej chwili zajęty poznańskiemi wyborami i Epidemią, graną z wielkiem powodzeniem na scenie po kilkakroć, niż gabinetem i polityką. „Epidemia“ z żywych stosunków miejscowych wzięta, śmiało czerpiąca z życia naszego, wskazuje w jakim kierunku idąc, scena na zajęcie publiczności rachować by mogła. Czyż inny jest cel teatru? Czyż artystyczne piękno nie daje się pogodzić z interesem społecznym i sprawą moralności publicznej?? Nie znamy „Epidemji“ tylko z pierwszych scen drukowanych w Warszawie, obszerniejsze więc sprawozdanie odkładamy na później. — Lwów zajmowały wybory burmistrza; obawa o przeniesienie Uniwersytetu, o które profesorowie starać się nie przestają, wreście wypadkiem jest nagłe zawieszenie „Dziennika lwowskiego“, któremu kaucja cofniętą została niespodzianie.... Trudno jest zdala sądzić o tym wypadku, przykre czyniącym wrażenie, lecz że nam szczerze żal pisma, które z dobrą wiarą i szlachetnie pracowało zgodnie z przekonaniami swémi — to pewna. Powiemy dziennikowi prawie to, co on z okazji niefortunnej kandydatury naszej powiedział — choćbyśmy nie zawsze dzielili jego przekonania, szanujemy jego uczciwy trud i odwagę w wypowiadaniu tego, co za prawdę i dobro uznawał. — Co się tyczy Uniwersytetu, bez wątpienia dla Lwowa byłoby stratą odebranie go, lecz czyby krakowski na tém nie zyskał i czy jeden ogniskujący w sobie życie całe, nie miałby go więcej, niż dwa dosyć wystygłe. Trudne do rozwiązania zadanie to, zostawujemy miejscowym i znającym lepiej stosunki sędziom. Wprawdzie dwa w kierunkach i duchu różne uniwersytety, są dla kraju pożyteczniejsze niż jeden — lecz mamy li siły na wlanie ich w dwie instytucje, gdy dziś obie, stosunkowo do zadania swego, do ludności kraju... dosyć są martwe?? — O wszystkich pismach rozkwitujących we Lwowie wspominać niepodobieństwo, minąć wszakże nie można nowego **Chochlika**, który cale oryginalny ma plan i obiecuje żyć a rozrosnąć się szczęśliwie. Niech tylko tego planu nie zmienia w niczém, a da pokój „Przeglądowi lwowskiemu,“ któremu bezpłatną robi reklamę, i gotów go uczynić popularnym, na co ani z pierza ani z mięsa nie zasługuje. Tego rodzaju pisma najlepiej pozostawić w tym cieniu, z którego wyrosły.

Wybory w W. Ks. Poznańskiem dały najchlubniejsze świadectwo obywatelstwu, w którym miłość narodu, tradycja lepszych czasów, duch Potworowskich, Marcinkowskich, Działyńskich i tylu innych czcigodnych mężów nie wygasł. Spisek ultramontański, który się posługiwał terroryzmem, fałszywémi

---

działem się wiele szczegółów o moim mniemanym ojcu. Po przybyciu do Trok, uwolniono ich, mnie zaś osadzono w policji, gdzie siedziałem dni dwa, nim zostałem w towarzystwie dwóch aresztantów wyprawiony do Żyżmor. Szedł ze mną żyd Herszko, mieszkaniec Żyżmor i dezerter, dobrze okuty, konwojowało nas dwóch chłopów, jeden mający lat czterdzieści, drugi piętnaście. Nakazano im, ażeby szczególniej pilnowali dezertera żołnierza, a najmniej zwracano uwagi na mnie, jako idącego do domu i niepotrzebującego uciekać. Przy odprawieniu z Trok, naczelnik żądał odemnie datku za to, ażeby razem ze mną wysłał moje papiery, któreby natychmiast uwolnić mnie dozwoliły, gdy bez nich czternaście dni na oswobodzenie czekać bym musiał. — Nic nie miałem, nie też dać nie mogłem i papierów ze mną nie wysłano, co mi na dobre wyszło.

Około piątej godziny wieczorem wyruszyliśmy, szedłem niby osłabiony, w tyle się wlokąc, i na siódmej wiorście stanąłem w lesie, rzuciłem się w bok, byłem wolny. Całą noc potém szedłem kierując się po gwiazdach ciągle ku zachodowi, a cały dzień następny przespałem w lesie. Zgotowałem sobie w kociołku trochę ziemniaków, żywiąc się orzechami i dzikiemi jabłkami. Wieczorem przeszedłem dwa bagna, ale dalej natrafiłem na torfowinę tak grzązką, iż musiałem się rozebrać i mało w niej nie utonąłem. Dobiwszy się wreszcie do lasu, zaskoczony zostałem nocą tak ciemną, iż iść dalej nie było podobna. Deszcz też padać począł, koło północy dopiero rozpogodziło się; wyszedłszy dalej, trafiłem na małą drożynę i wlokłem się nią aż dopóki nie usłyszałem piłowania w lesie. — Zbliżam się zcicha i widzę przy blasku księżyca dwóch złodziei, kradnących drzewo. Byli to moskiewscy koloniści, wysłani tu jako propagatorowie ruskiego narodu, i osadzeni na gruntach wsi Kejtowiszki. Przelękli się mnie zrazu, ale ich uspokoiłem, mówiąc że jestem kontrabandzistą z Prus. — Przyjęli mnie tedy, żywili przez cały dzień, a wieczorem pokazali drogę.

Mając zamiar w drodze z Wilna do Żyżmor uciec koniecznie, podowiadywałem się potrosze, gdzie bezpiecznie przechować się mogę i spodziewać pomocy, jeślibym jej potrzebował. — Udałem się więc do jednego z tych miejsc mi wskazanych, gdziem też dostał żywności i mały zasiłek pieniężny. Radzono mi, ażebym się ztąd udał do właściciela ziemskiego R.... pomocnika marszałka powiatowego.

Przyszedłem do dworu rano, spytałem o pana, powiedziano mi że śpi i kazano czekać. Później wyszedł lokaj z tém, że pan chce wiedzieć czego od niego potrzebuję. — Na to odpowiedziałem, że sam z nim o tém mówić muszę. Wrócił posłany z tém, iż pan widzieć się ze mną nie może. Odchodząc rozgniewany, przebąknąłem coś głośno o egoizmie i nieuczynności ludzi. R. dowiedziawszy się o tém, posłał po mnie, zawrócić kazał, wyszedł, rozmawiał bardzo grzecznie, polecił

podpisami, denuncjacją, który frymarczył religją, padł na głowę pobity, a wybory były manifestacją oburzenia przeciwko zamachowi zbrodniczemu. . . . Skutek ich, o ile wiadomym jest, tak był pomyślnym, iż nigdzie kandydat przeciw komitetowemu stawiony, nie utrzymał się. Ledwie po kilka głosów padło na odstępców narodowej solidarności. Lecz jakikolwiek zresztą byłby wypadek głosowania, — wystąpienie ultramontanów pociągnie za sobą ten skutek, iż słabości kliki okaże, a wiernych obozowi narodowemu zwiąże silniej i to co dotąd nurtowało podziemnie, na jaw wyprowadziwszy, zniszczy jawnością i potępieniem ogółu. — W sprawie tej agitacji wyborczej były zaprawdę fakta tak sromotne, że gdyby ich, uchowaj Boże, stronnictwo liberalne się dopuściło, postawiono by je pod pręgierzem . . . pobożnej klice wszystko wolno, nawet *fałszować podpisy*. Nie jest to przynajmniej radykalizm, tylko starodawna jezuicka tradycja — *la fin justific les moyens*. — Ten jeszcze owoc zostawi po sobie agitacja wyborcza, iż dwa pisma nowe powstaną w Poznaniu.

Witamy życzeniem powodzenia i rozwinięcia szczęśliwego odrodzonego w Poznaniu **Orędownika,** którego pamięć i zasługi czcigodnego profesora Poplińskiego żyją jeszcze do dziś dnia. Nowy „Orędownik“ pod redakcją Maksymil. Jackowskiego z Pomarzanowic i Dr. Romana Szymańskiego, obu znanych z prawdziwego do kraju przywiązania pisarzy, wychodzić ma trzy razy w tydzień, obejmować politykę, sprawy krajowe wewnętrzne i rozbiór zadań współczesnych, dobrobytu, oświaty, moralności i sprawy narodowej tyczących, odcinek, wiadomości handlowe i ogłoszenia. Zwiastuje się jako pismo katolickie i w duchu religijnym redagowane „gdyż interesa narodowości naszej, powiązane z interesami religji, splotły się w nierozerwany węzeł, którego naruszać pod karą osłabienia stron obu nam nie wolno.“ — Nie wątpiemy, że redakcja czerpać będzie natchnienia w tych połączonych ściśle od wieków uczuciach obu, które dotąd nigdy w antagonizmie z sobą nie stały, dopóki ich kosmopolityczni intryganci nie rozerwali dla rybołowstwa w mętnej wodzie. Za to ręczą pisma p. M. Jackowskiego, pełne zdrowego patriotyzmu i religijnego uczucia, i z równém poszanowaniem sprawy wiary pisane rozprawy Dr. Szymańskiego. Zwiększanie się liczby pism uważawy za oznakę rosnącego życia, za symptom rozbudzenia z odrętwiałości i za rękojmię lepszej przyszłości. — Niech Bóg da szczęście!! — Drugiem pismem jest zapowiedziany od 1. Kwietnia **Kurjer poznański,** którego programmu i rozmiarów bliżej dotąd nieznamy. — Gdy do tych dodamy, bardzo szczęśliwie rozwijające się **Tygodnik Wielkopolski, Sobótkę** i skompromitowany a osławiony **Tygodnik katolicki** — będziemy mieli obraz czynnej prassy poznańskiej, ożywieńszy niż w latach poprzedzających.

Właśnie w chwili, gdy Wisła burzyła most w Toruniu, a komunikacje przerwane były i utrudnione, odbyło się roczne posiedzenie Towarzystwa do popierania interessów moralnych ludności polskiej pod panowaniem pruskiém. Zjazd też nie był liczny. Rozprawy ożywione toczyły się około oświaty ludowej i środków krzewienia jej, oraz czynnościach dotychczasowych stowarzyszenia. Bardzo trafnie dostrzegli niektórzy członkowie, iż środkiem ważnym, acz lekceważonym rozszerzania oświaty jest kolporterstwo książek. . . . Wiele by za niém powiedzieć można. Czterdzieści lat temu byliśmy naocznymi świadkami błogich owoców tego handelku żydowskiego na Litwie, o którym i Mickiewicz wspomina. Towarzystwo rozporządzało dotąd dosyć skromnémi funduszami. Dochody jego nie przechodziły 429 talarów, rozchód wyniósł 379 talarów, co jedna zarządowi zasługę, bo im mniej grosza pozostaje, tém się więcej czyni i więcej do ofiary pobudza. Odbyło także posiedzenie Towarzystwo Pomocy Naukowej dla dziewcząt, które małe zmiany w statutach swych zarządziło.

W Berlinie Towarzystwo Przemysłowców założyło gospodę dla ubogich polskich robotników, przybywających do miasta. Jest to instytucja naśladowania godna i wszędzie zarówno potrzebna, gdziekolwiek fundusze dozwalają o tém pomyśleć.

Emigracja polska w Anglij wybrała tymczasowo zarządzającym w komitecie swym p. Alberta Potockiego. Nader smutne wiadomości o stosunkach rodaków naszych we Francij przynoszą nam listy ostatnie.

„Nasze tu położenie — pisze korespondent, którego nam list udzielono — coraz staje się przykrzejszém, a łatwo przewidzieć, że wkrótce będzie nie do wytrzymania. Chociaż emigracja nie szczędziła za doznaną gościnność swej krwi (do stu bowiem mamy zabitych i ranionych), Francuzi nie mogą nam jednak przebaczyć, że wszyscy Polacy nie przeszli z pruskich do ich szeregów (!!), wcale nie pomni na to, że wszystko robili sami, aby temu zapobiedz. Nie mogą nam również darować takich prefektów i jenerałów, jak Porębski, Brzozowski, Gruszczyński, Podbielski . . . Krąski, Drygalski i t. d. Napróżno usiłujemy wytłomaczyć, że są w wojsku pruskiém Percevale, Savigny, Bonin'y, Lacroix, Dubois i t. p., że owi bohaterowie prócz nazwisk na *ski*, nic więcej polskiego nie mają i mieć nie chcą. Wszystko to napróżno; nikt im ćwieka tego nie wybije. Od czasu zwłaszcza jak jeden z tutejszych dzienników puścił w obieg bajkę, że większa część tych mniemanych naszych rodaków była w emigracij i subsydja rządowe pobierała! Niesłychanie bowiem trudno walczyć z ogólném tutejszém nieuctwem wszystkiego co obce; z głupotą jednych, złą wolą drugich, a w gruncie rzeczy z nietajoném coraz bardziej wzrastającém współczuciem ku Moskwie, od której, jak my niegdyś od Francij, spodziewają się pomocy w przyszłej

---

przygotować niby w kuchni dla mnie śniadanie, a tymczasem posłał po żandarmów i kazał mnie nie spuszczać z oka. — Przyszli stróże porządku i pan R. wydał mnie w ich ręce. Zaprowadzono mnie do Żyżmor. — Tu stanowy dowiedziawszy się o mojem nazwisku, uszczęśliwiony był bardzo, gdyż już o ucieczce mojej został zawiadomiony. Zawołał tedy zaraz:

— Aha! tyś to ptaszku!

— Proszę pana pamiętać, żem szlachcic i mam prawo do lepszego ze mną obejścia.

Na te słowa — złagodniał i wygrzeczniał stanowy. Pytał mnie dla czego uciekałem, odpowiedziałem że nie uciekłem, ale przyzostawszy w lesie zbłądziłem, a słysząc o p. R. zaszedłem do niego, w nadziei iż dostanę lepszą odzież, aby się ojcu tak obdartym nie przedstawić. Zdawało mu się to trafiać do przekonania, lecz że papiery moje nie nadeszły jeszcze, kazał mnie odprowadzić pod strażą, aż do wyjaśnienia sprawy.

W kordegardzie znalazłem dwóch chłopów, których po dwóch dniach miano wyprawić do Wilna, przyprowadzono też dwóch złodziei, co konie kradli. Do tych stanowy przysłał Sotskiego i żyda, z przestrogą, ażeby się do niczego nie przyznawali, to ich wypuścić każe.

Interes ten miał właściwą sobie stronę, która się tém wyjaśnia, iż złodzieje ci ukradli konie w gubernji Augustowskiej i przeprowadzili je do Wileńskiej. — Tu ich pobrano z przyczyny, że paszportów nie mieli. Gdyby się więc wyparli, że konie są nie ich, że o nich nic nie wiedzą, stanowy by konie sobie zabrał na własność — zgodzili się na to chętnie. Przyprowadzono też do naszego towarzystwa moskiewską dziewczynę, Maszę Rybakow, osiemnastoletnią, niedawno przybyłą kolonistkę, obwinioną o udział w kradzieżach. Bracia przynosili jej jabłek i orzechów, dzieliła się z nami wszystkiem, za co byliśmy jej bardzo wdzięczni, ale czwartego dnia zachorowała, za poręką pozwolono jej leczyć się w domu.

Kordegarda, którą zajmowaliśmy, składała się z obszernej izby, w której mieścili się aresztanci i trzech dziesiętników wraz z sotnikiem żydem, ciągle nas mając na oku. Żyd szczególniej nam nie dowierzał, a jeszcze bardziej syn jego, dwunastoletni Icek, który ciągle ojcu powtarzał z niemiecka po żydowsku, że goimy i ganefy pouciekają. Dawali nam po sześć kopiejek dziennie, co było bardzo mało. Czasami wieczorem znosiliśmy ziemniaki i jarzyny z ogrodów dziesiętnikom do ich domów, za co dostawaliśmy po troszę tych wiktuałów.

Zmówiwszy się z dwoma towarzyszami więzienia, którzy nie podali swoich nazwisk prawdziwych, aby ich policja gonić nie mogła, gdy uciekną, — postanowiliśmy ujść z więzienia. Zrazu myśleliśmy naszych dozorców upoić, ale to nam tylko zaszkodziło, bo lubo żyd po wódkę posyłać pozwalał, ale sam jej nie pił i dziesiętnikom dawać nie dopuścił. Nadto obudziło to w nim takie podejrzenia, że byle się z nas kto ru-

wojnie, — a którą niezawodnie tak jak my — otrzymają!... Dla tego też — zdaniem powszechném całej emigracij — nic innego nam nie pozostaje, jak zawczasu, powoli ztąd wynosić się, bo rola nasza stanowczo tu skończona. — Dłuższy tu pobyt emigracij sprawie naszej i krajowi szkodę tylko przynosić będzie, a żadnego pożytku. W najlepszym razie aż nadto dosyć, gdy tu zostanie rodzaj polskiej missij, ambasady złożonej z kilkunastu światłych, wpływowych ludzi. Pożądaną również byłoby rzeczą uratować zakłady, wzniesione ofiarami ciężkiémi, krwawą pracą długich lat, ale wątpię, aby i to się udało. — Co zaś do ogółu, że się tak wyrażę — roboczej emigracij, to wyznam, iż nie widzę jaki dla ojczyzny pożytek, jeśli Maciej Paweł lub inny jaki obywatel pracuje szydłem, heblem, młotem w Paryżu, gdzie każdy Francuz patrzy na niego jak na intruza, zamiast w tymże zawodzie pracować w Poznaniu, Lwowie, Kołomyj, (Gdyby tylko było wolno! Przyp. Red.) zawsze równie miłując ojczyznę i chwaląc przy tém Boga."

Jakkolwiek pogląd korespondenta nie jest wolen od pewnego pessymizmu, ma też on w sobie prawdę. — Skutek ten, że służąc Francij, jesteśmy, przelawszy tyle krwi dla niej — znienawidzeni; — służąc Prusom z obowiązku i znowu krwią płacąc za przodków grzechy, jesteśmy wypędzani i wyszydzani — że wszystkie nasze ofiary i rachuby — próżne. . . .

„Przez czas oblężenia straciliśmy, kończy wzmiankowany korespondent, — z emigracij Adama Kołyskę, posła upitskiego, pułkownika Różyckiego, dowódzcę jazdy wołyńskiej z 1831. r., powszechnie znanego Dr. Raciborowskiego, który zięciowi swemu, Francuzowi, zostawił trzy miljony franków, w końcu życia wyrzekłszy się wszelkich stosunków z rodakami. — W dzień kapitulacij Paryża umarł niezmordowany mówca na wszystkich emigracyjnych obchodach p. Franciszek Grzymała. Dziwnie oryginalna to była postać. Z darów, jakiemi go Bóg hojnie opatrzył, wiernie do śmierci zachował miłość ojczyzny, której zaczął już w r. 1809. służyć. — Seweryn Goszczyński prawie już umierający i lada dzień zapewne nas pożegna."

We Lwowie zmarł Józef Franciszek Wojnicki, rodem z Królestwa Polskiego, kapitan b. wojsk polskich z roku 1831. i 1863., ozdobiony krzyżem *Virtuti*, przeżywszy lat 67, dnia 4. Marca w głównym szpitalu. — Dnia 7. odbył się pogrzeb. . . .

W Warszawie d. 28. Lutego zmarł Wojciech Jezierski, b. oficer wojsk polskich, emeryt, przeżywszy lat 75.

W Księstwie, w Studzienicach, pod Szamotułami d. 27. Lutego zszedł z tego świata ś. p. Józef Gabryelski, b. żołnierz z r. 1831.

Korrespondencye.

Rzym, d. 25. Lutego.

(*γη*). Zabawił mię niesłychanie korespondent poznański „Czasu," gdy długie moje milczenie spowodowane dwumiesięcznym pobytem w Florencij i prywatnemi interesami najmniejszego związku nie mającemi z zawodem pisarskim, uważa za fortel wyborczy redaktora „Tygodnia," który niby dla tego, aby nie drażnić wyborców swoich poznańskich, nakazał milczenie korespondentowi rzymskiemu, podczas gdy ten owszém milczał wbrew uprzejmym wezwaniom redaktora. Doprawdy, słuchając tej zdumiewającej kliki, co to u nas niby ma najczystszy katolicyzm przedstawiać, a przedstawia tylko w rzeczy samej najbrudniejszą stronę zepsucia i upadku cząstki narodu, zdawałoby się, że redaktor „Tygodnia" jest nieprzyjacielem kościoła i papieztwa, a korespondent rzymski przestał być oddawna katolikiem!!.. Zaiste, jeśli przez to święte miano mamy rozumieć wywołany ultramontanizm używający religij za płaszczyk najhaniebniejszego zaprzaństwa narodowego, kosmopolityzm frymarczący ziemią w imię nieba, kalający własne gniazdo na wzór ptaka, o którym wspomina przysłowie, to nie przeczę, iż takim katolikiem nie byłem i nie będę, dzięki Bogu! nigdy. Jestem i zostanę katolikiem takim, jakiemi byli zawsze prawowierni Polacy, miłujący ojczyznę i kościół, broniący wiary i wolności, i nieznający owego wolnomularstwa religijno-politycznego, która z ziemskiej korony Ojca św. postawionej na ołtarzu zamiast starego krzyża Chrystusowego, czyni olbrzymią nakrywkę ducha ludzkiego do gaszenia wszelkiej oświaty, wszelkiej wolności, wszelkiej narodowości!

Radbym milczał, mając inne zajęcia, jak dziennikarska polemika; ale czyż wszelkiemu Polakowi dobrej woli, wolno już dzisiaj milczeć w obec tak jawnych, zuchwałych i haniebnych zamachów na jedność narodową i na sam organizm i istotę rozerwanej ojczyzny, jak ten, którego się dopuścili księża Koźmian i Stagraczyński w okólniku tego ostatniego, ogłoszonym w „Dzienniku poznańskim?"

Otóż i dla nas wszystkich prawych Polaków nadszedł także czas, byśmy się silniej i spoiściej stawili w obec kliki anty-narodewej, zaprzedanej zaborcom w imię upadłej już doczesnej władzy Stolicy świętej, której ci wyrodni synowie nie ocalą niestety! i nie wskrzeszą intrygami swoimi, lecz tylko nad własną matką i nad własnemi braćmi bezowocnie znęcać się będą, jak szaleniec, szukający odwetu na rodzinie swojej i we własnej zagrodzie za śmiertelny zawód, gdzieś daleko doznany. Ach! bo też dla tych panów Rzym był najdroższym polem popisów, skarbcem ich ambicij, źródłem ich kłamanego uroku, Eldoradem ich butnej wierności, obiecaną ziemią ich znikczemnienia. Ziemię tę, jak przy uroczystych włoskich zachodach przyrodę całą malowniczo okraszających, widzieli wciąż z daleka w fijoletowym i purpurowym kolorze. Była to najdroższa ich Kalifornia. Nie mówię tu o Rzymie świętych Apostołów, męczenników, cyrków, katakumb, bazylik, pamiątek wszechnarodowych, lecz o Rzymie papiezko politycznym, o mieście świeckich rządów księży, gdzie zdyskredytowane i nie raz wytykane palcem we własnym kraju figury, nabierały politycznego i międzynarodowego znaczenia, burmistrzowały samowolnie

szył w nocy, żyd się natychmiast podnosił. — Ósmego dnia posłyszałem jak Sotski mówił do syna, iż jutro kajdany będą gotowe — czas więc był drogi i ani chwili dłużej spełnienia zamiaru odkładać nie było podobna.

Przez dzień cały przygotowywaliśmy się do ucieczki, każdy z nas nosił w kieszeni ogromny kamień, mogący służyć za broń zaczepną i odporną. Wieczorem deszcz padał i wszystko zapowiadało noc ciemną. Jak zwykle przed ostatecznem zamknięciem drzwi kordygardy zabraliśmy się do gotowania ziemniaków. — Dla niepoznaki pozdejmowaliśmy buty i przytroczyliśmy je do paska pod płaszczami, a w zanadrza pozatykaliśmy czapki i inne drobiazgi. — Na wyrzeczone słowo „już czas" jak jeden rzuciliśmy się wszyscy na trzech będących w kordegardzie stróżów, poturbowalismy ich odrzucając precz ode drzwi, czwartego stojącego za drzwiami poczęstowano dobrze kułakiem aż się przewrócił, i zniknęliśmy wśród ciemności nocnych.

Dwaj moi towarzysze znali dobrze miejscowość i pobiegli nadzwyczaj szybko, tak że ja, zmuszony być ostrożniejszym, znalazłem się w nieznanej okolicy — i wkrótce usłyszałem za sobą tłumne głosy i wrzawę, wśród której górował lamentujący głos Sotskiego.

Korzystałem z opowiadań Maszy Rybakow o okolicy miasta, i idąc za témi wskazówkami, biegłem przez ogrody, przeskakując przez płoty. — Z długiego siedzenia przeszedłszy nagle do tak gwałtownego ruchu, zmęczyłem się prędko, tak że po za ostatnim płotem stanąłem odetchnąć, gdy widzę Sotskiego idącego prosto na mnie. W rozpaczy zawołałem nań:

— Ani się rusz, bo mam nóż, i jeśli krokiem stąpisz dalej — zabiję!

Żyd przestraszony cofnął się, a ja miałem czas schronić się do lasu. Obszedłem miasto i w odległości wiorst dziesięciu spotkałem około karczem moich dwóch towarzyszów ucieczki. Razem uszliśmy jeszcze tej nocy wiorst dziesięć i nocowaliśmy u ich znajomych. — Wlokąc się tak najczęściej nocami, doszliśmy do miasteczka Olity, gdzie ich pożegnałem, dostawszy od nich 26 kopiejek na drogę. Przepłynąłem Niemen, udając kontrabandzistę z Prus. — Włościanie okazywali mi wszędzie dosyć współczucia i karmili darmo. — Tak w kilka dni doszedłem do granicy pruskiej, niedaleko miasteczka Sodargi, i przeszedłem ją bez najmniejszej przeszkody. W Prusach znalazłem znajomych, którzy mnie opatrzyli pieniędzmi na drogę. — Dostałem się ztąd do Galicji i dnia 17. Października przybyłem do Krakowa.

chłostały z daleka ubogą ojczyznę, gniotły i deptały maluczkich i biednych, przemawiały do wiejskich plebanów polskich, do pielgrzymów, którym niegodne były rozwiązać obuwie, tak, jak przemawiali niegdyś prokonsulowie i dyktatorzy światowładnej rzeczypospolitej, do niewolników ludu — króla! Ludziom tym chodzi dzisiaj nie o przywrócenie królewskiego wieńca Ojcu św., lecz o uzyskanie własnego znaczenia, władzy, a nadewszystko możności szkodzenia krajowi, gdyż nie wystarcza im złe, jakie czynią na miejscu, i chcieliby jeszcze z najczcigodniejszej w świecie świętości, ze stolicy piotrowej, uczynić dźwignię przeciw ojczyznie i braci, zgruchotać ją, pod brzemieniem kopuły świętego Piotra! Są to zaiste opryszki, prawdziwe opryszki, jak ich dobrze nazwaliście.

Więc rodzajowi temu Polska powinna wydać wojnę na zabój, na śmierć, gdyż tu o przyszłe jej życie, o jej najdroższe zmartwychwstanie chodzi!

Sytuacja w Rzymie nie zmieniła się, ale wyjaśniła się pod niejednym względem. Po tak długiej przerwie nie podobna mi się wdawać w szczegółowy opis wypadków, które zaszły tutaj od dwóch miesięcy, i są już wszystkim znane dokładnie, czy niedokładnie. Zamiast listu bowiem, przyszłoby mi chronologją kreślić. Poprzestanę zatém na krótkich uwagach.

Wiem, iż byłem zawsze zdania, że w braku innego wyrazu najwyższej swobody i niepodległości kościoła u szczytu hierarchij, doczesna władza Stolicy apostolskiéj przedstawia się, jako jedyna bezpieczna rękojmia takowych. Rządy papiezkie pod formą, jaką miały w ostatnich czasach, były enormalnością, niepodobieństwem, o jakiego dłuższém utrzymaniu próżno było marzyć. Absolutyzm taki wykluczający u poddanych wszelką ideę narodowości i patryotyzmu, umiarkowanej nawet wolności i nowożytnych wyobrażeń, był zabójczym dla religij, albowiem drogami czysto duchownemi, szerzył w innych katolickich krajach rozdział zasad i rozdwojenie wyobrażeń, jakie dla słusznych czy niesłusznych powodów istniały w Rzymie. Pomiatano wolnością, narodowością, niepodległością, postępem, nazywanie r e w o l u c j ą najgodziwszych, najświętszych dążności społeczeństwa, inaugurowane w Rzymie w stosunku do włoskiej jedności i do włoskiego patryotyzmu, przenosiły się do innych krajów i stosowały się do innych patryotyzmów. Ksiądz stawał się kosmopolitą w Rzymie i wróciwszy do własnego kraju, pozostawał także kosmopolitą: mierzył on to, co się u niego działo, stopą i łokciem, jakiemi we wieczném mieście mierzono włoskie stosunki i włoskie wypadki. Rzym na świat cały począł rozsyłać prałatów kroju ks. Ledóchowskiego, czego jako świat światem nie bywało w dawnym kościele, u dawnej Stolicy Świętej. Jezuityzm, jak straszna masa ogarnąwszy kościół św. Piotra i Watykan czarnym swoim płaszczem i oskrzydliwszy je swoim okolistym kapeluszem, przeprowadził watykański Sobór, usiadł jak straszna zmora na piersiach powszechnego kościoła i pod zasłoną doczesnego absolutyzmu doprowadził rzeczy do tego stopnia, że Bóg wszechmogący dla zapobieżenia okropniejszym jeszcze klęskom i dla uratowania swej oblubienicy, dozwolił działom włoskim zrobić wyłom w murach Rzymu. Interwencja boska jest tu tak widoczną, tak dotykalną, że każdy człek nie zaślepiony fanatyzmem, nie może zaprzeczyć, iż *digitus Dei est hic*!

Jednakże ludzie, pragnący nie zniszczenia, ale oczyszczenia doczesnej władzy papieża (jakowe to oczyszczenie samodzielném, dobrowolném już być niestety! nie zdołało i nie mogło, tylko nastąpić skutkiem gwałtownego wstrząśnienia), ludzie ci ufali, iż z tej wielkiej ruiny, wyjdzie nowy porządek rzeczy, to jest, wolne miasto Rzym, z papieżem panującym, ale nie rządzącym bynajmniej, pod zbiorową gwarancją mocarstw, z włoskiem dla mieszkańców obywatelstwem i włoską załogą. Był to, jak wszystkim wiadomo, projekt ś. p. kardynała d'Andrea, tego nieśmiertelnego księcia kościoła i męża stanu. By do tego dojść, potrzeba było, ma się rozumieć, przedewszystkiem zezwolenia i współdziałania rzymskiej ludności. Naturalne jej przywiązanie do papieży, wstręt do tychczasowy do po za kościelnego i po za katakumbowego życia, poprzestawanie na wielu rzeczach, na jakichby żadna inna nie poprzestała ludność, a wreszcie pewne zniechęcenie do nowego rzeczy porządku, pewna pozorna oziębłość, będąca wynikiem nieskończonych błędów administracij włoskiej, dawały do myślenia, że projekt wolnego miasta tkwi w samej naturze rzeczy i da się wykonać przy dobrowolnym udziale Rzymian i samego rządu włoskiego, dość zakłopotanego nowym nabytkiem i nie bardzo skorego do przeniesienia stolicy. Potrzeba było tylko poczekać, aż się namiętności uspokoją... Pobyt Ojca św. w Watykanie przedłużany wbrew Jezuitom, niewinna nawet fantasmagorja jego niewoli puszczona w obieg, dla zamaskowania rzeczywistego jego uwięzienia przez towarzystwo Jezusowe i przez zawisłe od Jezuitów otoczenie, sprzyjały poniekąd tym nadziejom.

Niestety! rozczarowanie wkrótce nastąpiło. Przeświadczyliśmy się niebawem, iż Jezuici nie zgodzą się nigdy na najmniejszą modyfikację doczesnej władzy, że kierują samowładnie i ślepo, sędziwym Piusem IX. a nawet, że w razie wyrugowania swego z Rzymu i z Włoch, porwą ze sobą swego moralnego więźnia i nie puszczą go, aż do śmierci. Z drugiej zaś strony, poczęła coraz bardziej na jaw wybłyskać, i dowodniej a oczywiściej przedstawiać się smutna prawda, że wyjąwszy nie wielką garstkę arystokracij i szczupłe dość grono osób materjalnemi widoki z byłem rządem papiezkim związanych, Rzymianie wszyscy, jako jeden człowiek, pomimo błędów administraciji włoskiej, pomimo ciężkich strat materjalnych, pomimo podatków i poboru wojskowego, nie chcą papieża — króla, nie chcą jego panowania, chociażby najbardziej konstytucyjnego, nie chcą zakonnego żywota i politycznego aczby najlżejszego odosobnienia od włoskiej ojczyzny.

Tak zaiste, doczesna władza papieży wszelką możliwą podstawą utraciła na zawsze. Lud włoski i rzymski jej się wyrzeka, słyszeć o niej nie chce. Mogłaby być jedynie przywróconą gwałtem, siłą bagnetów; strumienie krwi musiałyby na to popłynąć, a przecież Zbawiciel, który kazał Piotrowi św. schować miecz do pochew, nie może wymagać takich krwawych ofiar dla swego kościoła, który wzrósł samą krwią męczeńską, a nie przelewaniem krwi bratniej i katolickiej.

Projekt krucjaty, jaki się wylągł w głowach niewielu fanatyków, jest istnem szaleństwem i bezbożnością. Godła tej nowej krucjaty kwestura włoska schwytała u dominikanina O. Vannutellego, brata jenerałowej Kanzlerowej trudniącego się rysunkiem i malarstwem. Odkrycie to wywołało wraz z okropnem rozjątrzeniem ludu, oburzonego, iż znajdują się tutaj ludzie zawsze gotowi obcych najeźdźców przywoływać, niestosowną dosyć maszkaradę. W maszkaradzie tej, zkąd inąd zadziwiającej dowcipem, trafnością, podobieństwem, powściągały główne typy tegoczesnego ultramontanizmu, najzaciętsi nieprzyjaciele Włoch, jenerał de Chasette, jenerałowie Kanzler i Zappi, Franciszek II., ks. Ledóchowski, Don Margotto, słynny redaktor „U n i t a c a t t o l i c a“ i t. d. — Kwestura szczęściem zabroniła powtórzenie tego widowiska, która krocie rozdrażnionego ludu okryły namiętnemi, wściekłemi okrzykami i oklaskami.

Ponieważ zaś stronnictwo papiezkie wcale udziału w karnawale nie brało, ponieważ nie mało znakomitych rodzin Rzym opuściło, a reszta uczęszczała jedynie do Watykanu i Gesù na kazania, więc na karnawale znajdowało się li tylko stronnictwo liberalne, sami niemal Rzymianie. — Zapomniawszy wszystkich niesnasek i frasunków, straszliwej powodzi, która na czas długi zniszczyła materyalny dobrobyt miasta, równie jak bezrozumnych postępów nowej administracij, chcieli oni przedewszystkiem zadać kłam ultramontańskiej prasie, prawiącej ustawicznie o smutku i niezadowoleniu Rzymian, chcieli dowieść światu, iż radzi są zmienionemu swemu położeniu, uszczęśliwieni niém, chcieli wreszcie uczynić wielką polityczną demonstrację, przeciwko doczesnym rządom Ojca św., przeto, iż papież kilka dni przedtém, to jest w tłusty czwartek przyjmując wielkopostnych kaznodziei, rzekł był, iż wieczne miasto zmieniło się w jaskinię łotrów, że ludność cała w żałobie, i że drogi Rzymu płaczą jak syońskie: *Viae ejus lugent!*

Karnawał więc dni przeszłych miał całkiem polityczny charakter, był s p r a w ą r o d o w i t y c h R z y m i a n, bo cudzoziemców bardzo mało mamy tego roku i również mało Włochów z innych części półwyspu; był wreszcie protestacją wymierzoną przeciwko samemu Piusowi IX., jako monarsze rzymskiemu.

Karnawał ten był jednym z najokazalszych, najświetniejszych, najcudniejszych, jakie najstarsi tutaj ludzie, zapamiętać mogą. Ostatni wspaniały, jaki widziano w Rzymie w r. 1859, był tylko cieniem teraźniejszego. Pod panowaniem żuawów i pod terroryzmem policji papiezkiej, trwającym ciągle od roku 1860, nie było już rzymskiego karnawału: bywały tylko hałaśliwe, małoliczne zapusty, garstki płatnej czerni, krążyło kilkanaście pojazdów przysłanych przez policję, masek nie wolno było nosić, a na C o r s o snuło się włącznie pijane żołdactwo papiezkie i francuzkie, Anglicy, Amerykanie i kolektorowie świętopietrza, zamieniający garście krochmalu i bukiety z cudzoziemkami, lub podejrzanemi niewiastami, albowiem żywioł miejscowy, rodzimy, niknął jak kamfora. Najśmielsi liberaliści przejeżdżali się za bramą *Pia*, gdzie monsignor gubernator Rzymu na urągowisko posyłał wystrojonego kata papiezkiego, słynnego *mastro Titta*, dla uświetnienia liberalnego spaceru.

Tego zaś roku żywioł narodowy wystąpił w całym blasku; karnawał odzyskał narodową swoję cechę, ożywienie, ruch, oryginalność, wykwintność, artystyczną piękność, nieskończone odcienia, jakie go znamionują, słowem całą malowniczą, niezrównaną s f u m a t u r ę estetycznej swojej strony. Wróciłi rodowici Rzymianie w najróżnorodniejszych ubiorach, wróciły te kobiety, które w ludowym stroju Albanek i Fraskatanek zdały się prawdziwą emigracją z galerji i muzeów rzymskich, zastępem oży-

wionych obrazów wielkich mistrzów i posągów starożytnego dłuta. Wozy i rydwany karnawałowe najświetniej przystrojone liczono na setki, maski na dziesiątki tysięcy, zapustników na krocie. Kwiatów wysypano tyle, iż zdaje się, że z nich ogołocono wszystkie ogrody i wille na parę mil do koła. Żaden opis, żadna nawet najpłodniejsza wyobraźnia, odtworzyć i odwzorować widoku tego nie zdołają. Zabawa świeczek, czyli *moccoletti* była godną pędzla Gherarda *delle Notti* i Coreggia, tego wielkiego czarodzieja światła. Zdawało się, że mleczna droga bardziej jeszcze wyiskrzona, niż wśród sycylijskiej nocy, lub na szczycie Kordyljerów, padła na milowej długości ulicę i zasypała ją lawiną ruchomych konstellacji i błędnych gwiazd. Wśród tych kroci ów a krociów światełek, błąkały się tęczowo, uroczo, płomyki bengalskich ogniów troistej włoskiej narodowej barwy, jak ogniste róże, jak świetlane śnieżne kamelje i zieleń. Towarzyszył zaś temu wszystkiemu ruch i gwar taki, że najożywieńsze w świecie widowisko, słabe tylko wyobrażenie zdoła dać o nich; a przy tym gwarze, przy tym ruchu, przy tym szale, przy tém spojrzeniu, niedostrzegłeś nigdzie najmniejszego nieporządku, grubiaństwa, zwady lub zamieszki. Zdumiewająca zaiste cywilizacja, która płynie w żyłach tego ludu wraz ze krwią, bo wykształcenia zkąd innąd nie ma i wychowywano go w najtroskliwszym obskurantyzmie, we wszechstronnej niewiadomości! Na zamknięcie karnawału ludność cała — chór liczący sto kilkadziesiąt tysięcy głosów — zanucił arję z Cyrulika sewilskiego: *Buona sera, miei signori,* a potém nagle patryotyczny hymn Garibaldego:

Va fuori d'Italia, va fuori, straniero,
Bastone tedesco Italia non vuol!

„Precz z Włoch, precz cudzoziemcze, niemieckiego kija Włochy nie chcą!"

Zaprawdę, trudno ludowi takiemu mówić o władzy doczesnej Stolicy św., o powrocie do dawnego stanu rzeczy, a nadewszystko o obcej interwencji. Dzisiaj gdyby chciano koniecznie przywrócić ziemską koronę Ojcu św., potrzebaby nasamprzód pobić sześćkroć sto tysięcy regularnego wojska, które w razie potrzeby do ośmiukroć pomnożonem być może, a za wojskiem tém stanąłby cały włoski naród dla odparcia znienawidzonych teokratycznych rządów i tego, ktoby je wspierał. Papież miałby stosy trupów, za stopnie swego ziemskiego tronu, a czyliżby Namiestnik Chrystusów, mógł przyjąć bez grzechu i ciężkiej zbrodni koronę odzyskaną takim kosztem? Nadto restauracja taka mogłaby się utrzymać, li tylko siłą bagnetów z niesłychaną klęską wiary świętej; stan taki rzeczy wpłynąłby jak najfatalniej na cały organizm kościoła; za lat dwa, trzy, pięć, dziesięć, nastąpiłaby nowa rewolucja, a tą razą nie mszczonoby się już za długoletnie cierpienia maszkaradami, wyobrażającemi krucjatę, ale cała kasta duchowno-rządowa padłaby pod żelazem namiętnego i doprowadzonego do wściekłości ludu.

Następca Piusa IX. zwołując nowy Sobór, który się stał koniecznym po watykańskim, pogodzi kościół z wolnością i jednością Włoch: nastąpią wtedy zapewne wzajemne ustępstwa, zaspokajające sumienia katolickie. Od Piusa IX. nic się już spodziewać nie można, bo przestał całkiem do siebie zależeć i mimo pozornej niepodległości, jest już tylko prostém narzędziem w ręku Jezuitów kierujących samowładnie ośmdziesięcioletnim starcem, który przytém nie odznaczał się nigdy jenijalnością w czasach kiedy kościół potrzebowałby Hildebranda.

Obecnie zaś Jezuici zagrożeni zniesieniem w całych Włoszech, chcą koniecznie wywieść papieża, aby się z nim nie rozstawać. Jeśli więc pokój nastąpi, Ojciec św. za parę tygodni wyjedzie niewątpliwie do Korsyki, dokąd go p. Thiers zaprasza. Jeśli szalona krucjata spełznie na niczém, a Francja, którą despotyczne rządy i ultramontanizm przyprowadziły do takiego upadku, nie zdoła na stosach trupów i kałużach krwi sporodjować wielkości i sławy Karola W. w czasach, w których już niepodobna wielkie pytania mieczem rozstrzygać, natedy rozpocznie się nowe Aweniańskie przeprowadzenie, nowa babilońska niewola dla Stolicy apostolskiej, aż dopóki prawdziwy Namiestnik Ukrzyżowanego, nie rozstrzygnie stanowczo wielkiego sporu najpotężniejszym orężem — miłością.

Listy ze wsi.

I.

Czcigodny Redaktorze! W „Tygodniu" twoim otworzyłeś nam szranki, gdzie wszystkie objawy życia narodowego się skupiają spotykając się wzajem, gdzie uczą się gromadzić, aby wspólne siły zestrzelić ku jednemu wielkiemu celowi, którym jest dobro ogółu kraju. Tu występując na jaw, pod sąd opinji publicznej oddając swe działania, uczą się poznawać wzajemnie i oceniać, a potężnieć współubieganiem. Niemasz tak maluczkiego w objawach życia narodu czynnika, któremu byś odmówił przyjęcia w grono, co wspólnie pracuje na spodziewane żniwo. Niechże i mnie od roli wolno będzie to, co drugim, niech i rolnictwo wejdzie w program „Tygodnia"; wszakżeż ono nie ostatnie!

Myśmy przecież przedewszystkiem ziemianami. Rozległe niwy nasze, tak po większej części urodzajne, tak do obrobienia łatwe i sowity plon dające, od wieków już przykuły praojców naszych do siebie i nadały im piętno wybitne, cechę prawie wyłączną rolników.

Ładem w gospodarstwie stała Polska. Póki gospodarze uważając ziemię za świętą spuściznę, której on tylko dożywotnie rząd opanował, póty stały ładem dwory szlacheckie, a w nich kwitło zdrowe, uczciwe życie. Świętość rodzinnego domu wszczepiała od młodu w serca miłość ziemi swojej, t. j. ojczyzny, poszanowanie głowy domu, świętość węzłów rodzinnych. Témi to cnemi uczuciami stały rodziny, a na rodzinach wsparty potężniał i świetniał naród. Dobry gospodarz był dobrym obywatelem, bo czuł że mu krwią ziemi ojców bronić się godzi, był dobrym ojcem, jak dawniej dobrym synem. Sąsiadom był nieomal bratem, poddanemu ojcem, bo żyjąc po bożemu, nie potrzebował wiele. Twardy wiódł żywot, więc nie wysyssał sił kmiecia, obok niego na roli pracującego, lecz we wspólnej pracy widząc jednoczący ich węzeł, obdarzał go opieką i pomocą.

W skromności potrzeb, przy wspólnej a skutecznej bo od serca pracy, w poczciwym ładzie domowym leżał sekret zamożności dawnych gospodarzy. Żyło się dostatnio domowémi zapasami, grosz po za dom nie wychodził, więc też i te małe dochody co były, wystarczały szlachcicowi na wygodny żywot, a w potrzebie na służbę publiczną. I Bogu szlachcic miał co dać, i Rzpltej w potrzebie grosza nie poskąpił, i dziatwę uczciwie chował i jeszcze po najdłuższém życiu nieco grosiwa w skrzyni zostawił.

Lecz gdy nastały lepsze nibyto czasy, wszystko się zmieniło. Ze zmianą obyczaju praojców, weszły w modę potrzeby zbytkowne, których już zwykłemi środkami zaspokoić się nie dało. Od tego to czasu datują się dnie klęski naszego narodowego żywota: ucіemiężanie ludu przy wyzyskiwaniu pracy jego, wyssanie stopniowe ziemi naszej, od której co raz większych żądano plonów.

Ale czyż mogło być inaczej, kiedy dochody, które dawniejsze skromne potrzeby dostatnio kryły, teraz już na nowomodne życie nie starczyły. Wówczas każdy środek dobry, byle zaspokoić to, co biegiem czasu stało się niezbędném. Wtedy już i na służbę publiczną i na bożą chwałę grosza nie ma, bo wszystko pochłaniają własne potrzeby.

Naród, który stał poświęceniem, ofiarnością członków wielkiej szlacheckiej rodziny, runąć musiał, gdy mu ci odmówili serc swoich, tradycyjną rodzimą cnotą już nie zagrzewanych, gdy zamknęli kasetę swoją dla potrzeb kraju, nieszczędząc grosza na własną rozkosz.

Dalszym biegiem rzeczy, jeszcze się wiele a wiele odmieniło w stosunkach gospodarczych. — Podatki, których ongi szlachcic dla Rzpltej skąpił, teraz w czwórnasób zeń wyduszano egzekucją. — Wieśniak z poddanego stawszy się wolnym, nie mógł już być wygodném źródłem dochodu. — Tym sposobem dwa jeszcze przybyły źródła wydatków: ciężary państwowe i wydatek na robociznę. Przewrot przeto warunków, w jakich gospodarz istniał był zupełny. — Czyż jednak z nim razem zmienił się i system, jakim gospodarzono?

Niestety nie! Bardzo wielu uważając gospodarowanie za tradycyjnie z ojca na syna przechodzące zatrudnienie, którego sposób prowadzenia równie tradycyjnym trybem się snuje, ciągle jeszcze idą dalej po staremu, nie zdając sobie sprawy z tego, że w około nich wszystko się zmieniło.

Potrzeby, jak widzieliśmy, wzrosły nieproporcjonalnie. Niedaleko przeto do tego, że one dorównywują dochodowi, który nie wzrósł w tej samej mierze. Wprawdzie ceny zboża, dzięki środkom komunikacyjnym, co nas zbliżają do targów zagranicznych, wzrosły o wiele, lecz za to znów prawie ogólnie wydajność ziemi się zmiejszyła i Polska już od dawna nie jest ową krainą, co to swém zbożem karmiła wygłodniałe zamorskie kraje. Teraz właśnie owi sąsiedzi nasi, którzy dawniej naszem zbożem się żywili, do tego stopnia umiejętną pracą spotęgowali rolną swoję produkcję, że mimo rozrosłej ogromnie ludności, mniej niż dawniej zboża z zagranicy sprowadzać potrzebują. Środki komunikacyjne, które nam ułatwiają wywóz płodów naszych na europejskie targi, z drugiej strony niebezpiecznych nam wywołały współzawodników w Ameryce, Indyjach, Rosji, które to kraje z dziewiczą ziemią są w stanie po nader niskich cenach produkta swoje pozbywać, tak że one nawet opłaciwszy daleką drogę, jeszcze na targowiskach europejskich niską swą ceną zabijają naszą produkcję.

Stan taki gnębi gospodarstwa u nas. Wszyscy instynktownie czujemy, iż gospodarstwo nasze, ta najgłówniejsza gałąź bogactwa krajowego cierpi na jakąś chroniczną chorobę, która zwolna sił ją pozbawia. Czujemy wszyscy, iż tak dłużej iść nie może i że coś radykalnie radzić trzeba, aby z tej toni się wydźwignąć. — A jednak mimo to, jakże mało głosów odzywa się w kraju z poradą co czynić. Mało widać przemyśliwamy o sposobach wydobycia się z położenia, w jakiem rolnictwo nasze się znajduje, kiedy tak mało kwestja ta obudza zajęcia w piszącej i czytającej publiczności. Czyż może myślimy, iż już festalnie tak jak upadliśmy jako państwo, tak mamy upaść jako naród! Nie łudźmy się bowiem, upadek gospodarstwa to wyzucie się z ziemi, a oddanie ziemi w ręce obce, to dobrowolne położenie się do grobu na wieczny spoczynek. Przy śpiącém jeszcze poczuciu obywatelskiem ludu naszego, przy braku samowiedzy w niem, jedynym zastępem, co dźwiga sztandar ojczysty zewnątrz miast na szerokim obszarze niw naszych, są gospodarze nasi wraz z całym orszakiem współpracowników swoich. Niech ich nie stanie a miasta świecić będą poczuciem polskości, jak wyspy wśród morza sielskiej ludności. A jakiem to morze się stanie, to Bóg jeden wie, co zna tajniki przyszłości!

Dla tego sądzę że niedaremnym głosem w sprawie tej się odezwę i że słowa moje obudzą może echo w sercach czułych na przyszłość obywateli. Zespólmy myśli nasze i środki ku dzwignieniu się z położenia, w jakiem jesteśmy, jeżeli nie chcemy upaść pod przeważnym napływem wzrastającej ekonomicznej potęgi sąsiadów. Zachowajmy w rzędzie narodów cywilizowanych Europy stanowisko nasze przynajmniej pod względem ekonomicznym, kiedyśmy je utracili pod państwowym. — Niech doświadczenia przebyte otworzą nam oczy, nie bądźmy ślepi na to, co nam się codziennie nasuwa, myślmy o niebezpieczeństwie jak na mężów przystoi, a pewnie znajdziemy środki do ratunku, bo kto szczerze pragnie, zawsze znajdzie.

R.

Przechadzki po Europie.

(List z Wiednia.)

I.

Styczeń, 1871.

(Ciąg dalszy.)

Vöscher (24.) z Monachium: Rzeka Etsch w Tyrolu, głębia perspektywy tego obrazu, z strumieniem pędzącym z dalekiego wąwozu, przypominającym nasz drogi biały Dunajec w Zakopaném, wybornie oddana. Ferrari z Mediolanu (21) Plac jarzyn w Weronie, celuje szczególniej oddaniem archeologicznem ozdób architektury. Rozgłos największy zyskały charakterystyczne obrazki wodnemi farbami pędzla Eduarda Steinle, będące illustracją powiastek gminnych Grimma, pod tytułem: Schneewitchen und Rosenroth. Za daleko odwiodłaby nas szczegółowa charakterystyka powiastek i obrazów. Są one ideałem liryki rodzajowej, pokrewnej utworom Schwinda, choć samodzielniejszej od siedmiu kruków. Rysunek mistrzowski grupy, śmiałość, a głównie wdzięk i polot fantazij będący podstawą w bajce gminu, czynią te kreacje małemi arcydziełami. Program ich taki: Matula miała dwie córeczki — wdowa — w małej chatce, w której ubogiém podwórzu rosły dwa krzaki róż — jeden śnieżny, wtóry różowy — jedna z dziewcząt zwana Białuchną, druga Różową, posiadały te krzaki róż — jedna z nich była żywa, i tylko latała w las po kwiaty i łowiła śpiewające ptaki — wtóra cicha i spokojna, przędła przy matuli i czytywała jej, gdy nie było nic do roboty — na tém tle osnuł malarz swe pomysły — obrazek I. Dwie siostry, biała i różowa i ich przyjaciel niedźwiedź z niezmierną obleśnością, liżący ich ręce za to, że go w zimie przyjęły do płonącego komina — ten gruby jegomość, jego niemiecka Gemütlichkeit, jako sporność z dwojgiem idealnych dziewcząt wyśmienicie chwycona. Obrazek II. Dziewczęta ratują karła od utonięcia. Karzeł z siwą brodą, ów myth codzienny w podaniach germańskich, to małe arcydzieło, pełne humoru. Obrazek III. Zapasy dwu karłów. Obrazek IV. Dalsze przygody z karłem i jego koniec. Obrazek V. Dziewosłęby. Ten obraz przeszedł się w uroku gracij... nie znam nic podobnego. Dwaj rycerze na pysznych rumakach dziarsko z swym orszakiem wjeżdżają w dziedzińczyk. W ganku stoi mateczka zapłakana, zfrasowana, a jednak rada ich odwiedzinom — po bokach obie siostrzyczki, śnieżna i różowa — przed każdą kwitnie krzak jej róż — fałdy szat obu córek rzucone prześlicznie, i włosy, i ręce, i główki jak u kwiatków zwieszone melancholicznie, a jednak z uśmiechem ciekawym... jak wiśnie krasne po za mur wychylone z ogrodu... postacie ich delikatne jednak bardzo germańskie idą z tradycij Nibelungów — a w życiu zawsze te same z umysłem otwartym na piękno, a z mrówki pilnością około spraw domowych. Par exellence niemieckie. Rodzaj to zbytkowny malarstwa i nie początek wróżący, trzeba wszystko wyczerpnąć, by się tych subtelności chwytać w sztuce. — Dalej kilkanaście pięknych akwarellów Goebla. I znakomita akwarella p. Thibeaux (56) według belwederskiej z Rigauda — skopiowana, pod t.: Kirchenfürst. — W tej postaci ujemnie, a z mistrzostwem ujętej, zeszła się cała trafność rodzajowa — olbrzymia peruka Louis XV., wyraz pełen wyrazów, rysy spiczaste, dowcipne — i Mazarina uśmiech gotowy w tém, czém nie dopisze Richeulieumu, i ministerjalność Alberoniego, i Metastazja bonwiwanterja (na nią nie ma polskiego wyrazu, i nie szukamy go) i przebiegłość prymasa Poniatowskiego i t. d. wszystko tam gra żywo, jaskrawo, a słodziutko i namiętnie. — Nos ostry i nie głupi, sourir d'un lettré, oczy ciężkie i ospale przymróżone, ale czujne i żywe nie żórawią ale sowią czujnością — ręka alabastrowa, fiolety pełne kokieterij — woń salonu — muzyczka dla konkokcij, teatrum dla ziewania i zabawki... Między portretami odznacza się Grillparzera p. Axmana z Salzburga (89). Wśród historycznych, nie pospolite miejsce zajmuje obraz naszego ziomka p. Eljasza, Krakowianina: Czarneckiemu 1655 r. broniącemu Krakowa, chłopięta znoszą kule szwedzkie. P. Eljasz bez wątpienia czyni wielkie postępy, życząc mu przedewszystkiem jeszcze więcej plastyki dziejowej, jaką wysiłkiem nadludzkim prawie zdobył Matejko — a głównie pozbycia pewnego szarego, w brudne wpadającego kolorytu, tu może on ujść za kurzawę wojenną, ale tło brudnawe, jakiém obraz cały powleka, nie czyni miłego wrażenia. Z rodzajowych, jeszcze walka tygrysa z bawołem Verlata (85) przypomina werwę Rubensa, Schwertchakowa (99) obraz, podróżni ścigani przez stado wilków, przerażający obraz zimy bardzo trafnie oddany — trzy konie gnające galopem w rozpaczy o lepsze w zawody z wichrem zimowym, za chwilę ugrzęzną w zaspie śniegowej — kilku podróżnych na saniach broni się strzałami z samopału — cała zgraja wściekłych wilków, czująca swe zwycięstwo ściga ich zajadle — cała północna natura w swej grozie oddana — autor Moskalem, oddajmy tém bardziej sprawiedliwość. Obraz ten blednieje tylko w obec jednego — to jest w obec epilogu „Tułaczy" Bolesławity — ale tam ofiary tak święte i zwycięzkie świętością swoją, że pożerające je bestje, mogły by się uświęcić krwią, którą żłopią — i nawet... ale to nieco trudniej — śnieg i szron wsteczności który je przepada, rozpływa się w łzy anielskie, obmywające winy tej ziemi...

(Dokończenie nastąpi.)

Nowe Książki.

Przegląd polski. Rok V. Zeszyt VIII. Luty. Kraków. Str. 171 do 338 str.

Chociażeśmy o ostatnich zeszytach „Przeglądu" wspomnieli pobieżnie w obejrzeniu dzienników, należy mu właściwie i obszerniejsze sprawozdanie i ocenienie bardziej szczegółowe. W zeszycie lutowym jest dosyć, z czém by się rozprawić dłużej było można, gdyby ramy nasze starczyły. Jakkolwiek w wielu z „Przeglądem" zdaniach nie zgadzamy się i radzibyśmy go widzieli na innej drodze, nie możemy mu odjąć naprzód tej wielkiej zasługi wytrwałości, której piąty rok daje dowody, nie będąc dostatecznie popieranym przez czytelników, powtóre względnej jego wartości, na dzisiejsze czasy dość znacznej, zwłaszcza gdy porównamy „Przegląd" ten z innemi wydawnictwami podobnego rodzaju. Trafnie czy nie, z mniej więcej stosownym środków doborem, „Przegląd" wszakże pracuje wedle sumiennego przekonania swego — choć często cel przeciwny zamierzonemu osięga. — Poważniejszy nad inne i więcej na uwagę zasługujący jest zeszyt lutowy. — Na czele jego jest dosyć obszerne opracowanie hr. St. Tarnowskiego: Romans polski w początku XIX. wieku. Już samo imie autora i jego stanowisko jako profesora-docenta historij literatury, pociąga do czytania tych prelekcij. Jeżeli się nie mylemy, autor czytał je na cel dobroczynny w Krakowie. Smutna to rzecz, — odczyt ten wyczerpujący dosyć pod względem bibliografij romansów, ich wyliczenia, nawet dość obszernie podanej treści, jest płytki i nie zaleca się ani oryginalnością poglądu, ani gruntowniejszém pojęciem tego, co krytyka wydobyć mogła z romansu polskiego w początku XIX. wieku. Więcej tu o formie, o budowie niż o znaczeniu, niż o myśli samowiednie lub bezwiednie objawiającej się w tych utworach wyobrażać. Słabe to szczególniej w porównaniu do pierwszych krytyk literackich p. Tarnowskiego, które więcej zapowiadały. Horyzont ciasny — a mimo starania z jakiem widocznie unikał prelegent dotykania bieżącego zadania powieści w literaturze, czuć mocno, iż mu ono dolega i boli. Znane bardzo wyrzeczenie Gervinus'a o charakterystyce naszego wieku, a raczej o charakterze ogólnym światła i wiedzy, które rozpościerając się, tracą na głębokości — jest tu najcelniejszą myślą niestety — w zastosowaniu do samego autora rozprawy najlepiej uczuć się dającą. Odczyt ten rozwodniony i rozlany, stracił też na sile i głębokości. — Jest to elukubracija na dany temat, w której brak natchnienia, przejęcia się — żywotności. Szczególna rzecz, że w języku nawet, zwykle poprawnym dość autora, daje się czuć jakieś zaniedbanie coraz widoczniejsze. Tak naprzykład

(str. 172) czytamy o romansie „pod jego panowanie należy wszystko,“ zwrot to ca!e nie polski, dalej że romans „na wszystko to się rozpościera!“ i t. p. I wyrazów i wyrażeń i zwrotów takich nie swoich, które czuć, jakby myślą w innym języku obracającą się a tłumaczoną na polskie — pełno tu znajdujemy.

Lecz rzecz to mniejszej winy, bo nie zawsze usposobienie towarzyszy pracy i natchnienie przychodzi na zawołanie — któż tego nie doświadczył? Autor po wstępie bardzo ogólnikowym, nie sięgającym za Argenidę — rozpoczyna przegląd swój od Malwiny — z której jako z charakterystycznego zjawiska w danej chwili coś więcej można było wyciągnąć nad uwagi o formach podobania się i fizyognomij uczuć, jakie tu znajdujemy. Dalej idą Adolf i Julia; potem, nieco za późno, powiastki hr. Mostowskiej, i powieści Niemczewicza. — Zarzuca autor Ursynowi, że mu zwykle wykonanie nie dopisywało, dosyć słusznie. — Dwaj Sieciechowie, Lejbe i Siora, przedstawiono jako utwory tendencyjne. Po Niemczewiczu idzie Fr. Skarbek, Tańska, Jaraczewska. O tej ostatniej i za surowo i niedostatecznie — za to o romansie historycznym bardzo obszernie mówi autor, — za wiele może a razem za mało. Tu przychodzą Niemcewicz ze swym Janem z Tęczyna, który zdaniem prelegenta jest raczej obrazem Polski XVIII. niż XVI. wieku. Zarzuca mu brak studiów archeologicznych, chociaż wydawca pamiętników o starożytnej Polsce znał ją pewnie lepiej od krytyka, na nieszczęście życie i jego wymagania, towarzystwo w jakiém się obracał, zatrudnienia, dystrakcje i ten pośpiech nieszczęsny, o którym mówi p. Tarnowski — zasobów nawet posiadanych użyć lepiej nie dozwalały. Ciężyła na nim teraźniejszość, rwały go gorące prądy wieku...

Sąd o takich ludziach jak Niemczewicz — gdy część tylko ich działalności obejmuje, gdy ułamkowo ocenia to, co tylko wzniosłém z całém życiem i pracą daje się słusznie ocenić, musi być fałszywym, choćby dla tego, że pełnym nie jest. — Czcigodnemu kasztelanowi Wężykowi, ażeby powieść historyczna miała się udawać lepiej — na to zgodzić się trudno, ale sąd ten zrozumiemy, bo go nam tłumaczą czysto ludzkie sympatje i wstręty autora rozprawy. Skarbkowi znowu powieść obyczajowa ,,wiodła się lepiej“ mówi prelegent.

O Pojacie dosyć długo, obszernie i dosyć sprawiedliwie sądzi autor, lecz im dalej się czyta go, tém więcej przekonywa, że tytuł prelekcij niewłaściwy. Zamiast „o Romansie polskim“ stać by powinno: „O Romansach polskich, znaczenie głębsze tych produkcij cale nie pojęte i pominięte. — Naostatek, bo mu tak potrzeba było — prelegent powiada, przechodząc do niby zbiorowego sądu o rzeczy, że cechą ogólną tych płodów jest, iż „wszystkie są dobre i zdrowe.“ Jak to się godzi z tém co poprzedziło — przyznajemy się, zrozumieć trudno. Lecz powieści początku XIX. w. musiały być dobre i zdrowe, dla tego ażeby późniejsze pokazały się „złe i chorobliwe.“ Zdala to już widać i z góryśmy tego byli pewni. Całe zakończenie w tym duchu i jak na początku narzekanie na „rozmnożenie i spanoszenie się powieści, tak w końcu aż zacytowano kasztelana Wężyka, żeby poprzeć te gorżkie żale nad upadkiém wrzekomym literatury. — Może być dowcipném zestawienie Iliady ze trzema Muszkieterami, Dantego (nie Danta) z Nędznikami W. Hugo, i p. Tadeusza Mickiewicza, z Tadeuszem Korzeniowskiego, ale historyk literatury w takie kuglarstwa bawić by się nie powinien, a poważniej widzieć sprawę literatury, w której palmy i trawy, róże i pokrzywy znaczenie swe i przyczynę bytu mają.

Tej przyczyny bytu w fenomenach opisanych przez Tarnowskiego, nie wskazano lub uczyniono to słabo i płytko. — Kończymy te uwagi z przykrém przeczuciem, że się one, z naszej strony mogą wydać natchnionemi uprzedzeniem, kiedy w sumieniu naszém, jesteśmy od niego wolni.

Pogadanki o niektórych kwestjach bieżących p. Bernar. Kalickiego, zawierają Dawny republikanizm i dzisiejsza rewolucyjność — Arystokracja i demokracja w Polsce... Katolicyzm w Polsce ze stanowiska politycznego (?) — Stanowisko kobiet w polskiém społeczeństwie według historij. — Są to, jak widziemy, wprawdzie pogadanki, ale o kwestjach bardzo żywotnych i ważnych, widzianych ze stanowiska „Przeglądu polskiego.“ Ostatnia pogadanka nie wyczerpuje przedmiotu, który w całej swej rozciągłości dostarczyłby wiele materjału do bardzo zajmującej monografij. Jedna Sobieska nie przedstawia kobiety polskiej, która w ciągu dziejów w tysiącu uroczych, majestatycznych i anielskich jawi się nam postaciach...

Zapiski ornitologiczne hr. K. Wodzickiego są nam od Wróbla pamiętne, bo nie można ich czytać bez wielkiego zajęcia i trudno nie oddać tej pracy oryginalnej należnych pochwał. Wróbel, mimo że ornitolog z profesij, niczby mu nie miał do zarzucenia, już trochę zakrawał na Granvilla illustracje do bajek, pod wróblem czuć było wróblewiczów, a co kukułka! — jest tu już zupełnie epizodyczną, odpowiednia jej w świecie ludzkim Zezula zaciera leśną swą imienniczkę. Nie tyle tu o kukułce co o lekkich swawolnicach, kobieciętach, którym surowa słusznie i bardzo ad vocem dostała się nauka. Słowa prawdy i w porę. To zmięszanie jednak ornitologij z etyką czy jest szczęśliwe, legalne, artystycznie pięknie a moralnie pożyteczne — doprawdy — sąd nader trudny. Tu tendencyjna ornitologija w chwili, gdy powieści i romansowi za grzech się poczytuje tendencija — w każdym razie jest zjawiskiem szczegolném i mogłaby — któż wie? — pociągnąć za sobą taką samą chemiją przemięszaną z moralnością lub fizyką etyczną? Oddzieliwszy kukułkę od zalotnicy i jedna i druga zajmująca, pięknie pisana, trafnych uwag pełna — obrazy żywe a plastyczne, może aż nadto wyraziste, bo byśmy ich w ręce paniom dla poprawy, nie dali. Więcej to czasem mówi niż potrzeba i uchodzi. Bądź co bądź te zapiski ornitologiczne dla ludzi nauki będą za artystyczne, dla powszednich czytelników może za uczone, choć — Bóg widzi — są wielce miłe, a, nadewszystko — są autora własne, są mimo Michelet'a i t. p. pomysłem oryginalnym. — Daleko mniej mają ceny francuzkie Galoppe d'Onguaire, Hommes et bêtes, chociaż nie bez analogij z obrazkami p. K. Wodzickiego.

Przegląd literacki i bibliograficzny, zawiera krótką wiadomość o kodeksie dyplomatycznym Uniwersytetu krakowskiego, encyklopedij Galicij A. Schneidera (zeszyt 4.) W. Pola: Obrazach z życia i natury, które wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych (Oświaty) świeżo wydrukowało, ale dotąd zbyt mało jeszcze rozpowszechniło, i t. p. kończy, jak zwykle Przegląd polityczny i teatralny.

Dr. Omega.

Rozmaitości.

— **Zmarły d. 15. Lutego** w Schetzbergu pod Achern w W. Ks. Badeńskiem Kar. Henr. Józ. Neuville, Belgijczyk urodzony w Morawji, przemysłowiec, dyrektor fabryk sukiennych, jakiś czas przebywał w Polsce, gdzie zarządzał ojcowską fabryką sukna. Później założył ich kilka w Rosji. — Zmarł mając rok 66. Miał to być człowiek zdolny i powszechnie szacowany.

— **Piękny portret Bosaka** fotografowany z natury, a wykonany nader szczęśliwie, wydał w Dreznie p. J. Bobrowicz (Victoriastrasse 7). Lepszym on jest bez porównania od wszystkich jakieśmy widzieli, a czyni go cennym dodawszy doń wizerunek medalu roboty Lenartowicza, który ziomkowie ofiarowali jenerałowi Bosakowi we Florencji. Wizerunek medalu sprzedaje się osobno. (Zamówienia na fotografije te można przesyłać wprost do p. J. Bobrowicza, pod jego adresem, lub przez Redakcję „Tygodnia.“ Cena fotografij Bosaka z medalem małe folio 1 tal., cabinet-format 12 sgr., biletów wizytowych format $7\frac{1}{2}$ sgr. — Medal sam w formacie biletów wizytowych sgr. $7\frac{1}{2}$.

— **Prometeusza**, wydawanego w Spandau, wyszły jeszcze, zapewne ostatnie numera 2—5. Każdy z nich ma inny litogrofowany tytuł, — Dzwon huzara (w karykaturze), — Balon i lecącego na kuli kawalerzystę. — Ostatni jest z d. 9. Lutego. Rozrywka ta, prostych żołnierzy, trąci nieco koszarami, ale nie brak jej francuzkiego chic'u. Wesołość konceptów ściska serce, tak pod nią widoczny smutek, przez jej podarte łachmany, przegląda nędza i niedola. — Z wdzięcznością mówią więźniowie o komendancie twierdzy, który im teatr grać i to pisemko wydawać pozwolił. — Rysunki nie dowodzą olbrzymiego talentu, szkoda mówić. Jeden z nich wyobraża garderobę teatralną i sznurowanie damy, która ma grać jeune premiere, drugi (ciąg) przygody wynikłe z wykarotowanych pieniędzy, trzeci ślizgawkę pod twierdzą, czwarty dalszy ciąg talara, historję opiętych... pracownię w cytadelli i początek niedzielnych awantur p. Chalumeau. Pióro w ogóle zręczniejsze od ołówka. — Gawędy, listy do Fathmy... poezij mniej. Dla zbieracza osobliwości typo- i litograficznych te kilka numerów będą nieopłacone. I one należą do smutnych pamiątek 1870—1871.

— **Więźniowie francuzcy**, ci ktorzy mogą o własnym kosztcie opuścić Niemcy, już wyjeżdżają... reszta czeka na mające się obmyśleć środki odprawienia do granicy. Wielu, którym serce do rodzin bije — nie mają o czém wyjechać. — Dziwna rzecz, że pp. generałowie i starszyzna francuzkiej armji, którzy w ogóle wcale się o los żołnierzy nie troszczyli, ruszyli sami co najprędzej, niemyśląc wcale co się z żołnierzami stanie.

— **Drezno d. 8. Marca.** Nieliczne już kółko polskie spędziło dziś znowu wieczór bardzo wesoło.... Niezmordowani amatorowie, którzy z siebie chętną czynią ofiarę dla zasilenia szczupłych zapasów Dobroczynności — odegrali wśród nieustających prawie oklasków — dwie wyborne komedyjki Fredry syna, które się nadzwyczaj szczęśliwie powiodły. Nie mówiemy już o pierwszej. — *Przed Sniadaniem*, w której panna S. snakomity swój talent już nam w roku przeszłym poznać dała; nieskończenie trudniejsze było przedstawienie *Posażnej jedynaczki*, w której liczba osób, charakterystyka ich. wybitne role wszystkich grających, dla amatorów prawie ją czynią niedostępną. Tym czasem odegrana została tak żywo, tak spójnie, z taką werwą szczęśliwą, pochwyceniem fizjognomij, charakterów, typów, iż by najwytrawniejszym artystom cześć przyniosła. Kto zna wszystkie trudności amatorskich przedstawień, a policzy osoby wchodzące do *Jedynaczki*, zrozumie, jak to było trudne zadanie dla reżyszera improwizowanego, ile dobrej woli, ile ofiary wymagała sztuka od artystów. — Powiodła się też nad wszelkie spodziewanie, a raczej tak, jakeśmy się spodziewali, znając talenta i dary, na których naszym rodakom nie zbywa. Przedziwny Szumbaliński, wszystkie jego córki, a szczególniej te, których role były znaczniejsze. Paulina (panna G....), pani Gomojłowa (panna T....), wybornie zazdrosna Ratatyńska (panna Ż....) Kamilla (panna S....) — panowie: Gomojło, Ratatyński, Stary sługa, — słowem całe grono pojęło i oddało tę zabawną komedyjkę, jak rzadko się zdarza na amatorskich teatrach. — W wesołém usposobieniu rozeszli się wszyscy, wdzięczni za tę niespodzianą chwilę rozrywki, w czasach gdy wszystko tak smutne.

SKŁADKA
dla rodziny ś. p. Bosaka.

Z przeniesienia	125 franków.
Od P. Marji Radońskiej ze Słupowa pod Kcynią	5 talarów.
Zebrane staraniem pani Jul. Bor. . . . jeszcze	26 „
Razem 125 franków i	31 talarów.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Józef Ign. Kraszewski** w Dreznie. — Nakładem i drukiem **J. I. Kraszewskiego** w Dreznie.